

MAGDA
KNEDLER

NIKT CI
NIE
UWIERZY

MANDO 

I

Pytania dotyczące winy:

- 1. Czy oskarżony architekt Peter Grupen z Ottenbüttel jest winny umyślnego, zaplanowanego uprzednio zabójstwa Dorothei Rohrbeck, dokonanego z premedytacją 14 lutego 1921 roku w Kleppelsdorfie koło Lähn?*
 - 2. Czy oskarżony jest winny umyślnego, zaplanowanego uprzednio i dokonanego następnie z premedytacją 14 lutego 1921 roku zabójstwa Ursuli Schade?*
 - 3. Czy oskarżony jest winny popełnienia czynów nieprzyzwoitych jesienią 1920 roku w Ottenbüttel z osobą poniżej 14. roku życia, Ursulą Schade, lub też nakłaniania jej do popełnienia i tolerowania czynów nieprzyzwoitych?*
 - 4. Czy oskarżony jest winny popełnienia nieprzyzwoitych czynów ze swoim przybranym dzieckiem?*
- Piąta kwestia dotyczy nielegalnego współżycia oskarżonego z Ursulą*.*

* Na podstawie: „Der Bote aus dem Riesengebirge”, Dienstag, 20 XII 1921.

URSEL

Czasami jest tak, że przychodzi do ciebie Zmora. Nie wiesz, kiedy to się stanie, nie umiesz rozpoznać dnia. Ale czujesz, że może w każdej chwili, a raczej nie, nie w każdej, tylko wieczorem. Zmora potrzebuje ciemności i ciszy, w świetle dnia wygląda inaczej, zupełnie nie jak Zmora. W świetle dnia ma zwykły uśmiech, może czasem trochę straszny, ale to zależy, jak się patrzy i ile się o niej wie. Zmora, tak ogólnie, się podoba. Zmory ludzie słuchają. A skoro słuchają jej, nie sądzę, by zaczęli słuchać mnie. Jeślibym, oczywiście, spróbowała coś powiedzieć.

Dlatego właśnie gdy przychodzi, kładę się płasko i liczę w myślach. Czasem Zmora potrzebuje tylko kilku minut, ale czasem trwa to dłużej i wtedy liczę od nowa, do dwudziestu i od zera, do dwudziestu i od zera, aż mam na przykład pięć dwudziestek. Tak można sobie liczyć tylko wtedy, kiedy Zmora wszystko robi sama i niczego ode mnie nie chce. Bo kiedy chce, liczenie staje się utrudnione. I w takich chwilach nie wiem, ile było dwudziestek. Czegoś się ode mnie domaga. Mówi „rusz się” albo „połóż tu rękę” i wtedy muszę się skupić. Wolę, by była zadowolona, bo tak jest lepiej dla nas wszystkich. Mówi też różne inne rzeczy, ale dobrze wiem, że prawda znajduje się poza słowami, gdzieś pod spodem, i wystaje tylko trochę, tylko tyle, bym mogła się domyślić, jak wygląda. I muszę zapamiętać jedno.

„Nikt ci nie uwierzy”.

Zmora nigdy nie mówi tego wprost, to znaczy nie mówi słowami. Ale potrafi do ciebie zajrzeć, do twojej głowy, zobaczyć, co myślisz, i odgadnąć twoje plany. Od czasu do czasu czuję łupanie pod czaszką i mam wrażenie, że tam w środku wszystko mi pęka. To ręka Zmory. Ta jedna ręka. To jej nierówno opiłowane paznokcie i szorstka skóra. Na moim wnętrzu. Na tym wszystkim, czym jestem, co pamiętam i co chciałabym zapomnieć. Ręka Zmory na pytaniach, których nigdy nie zadałam i których nigdy nie zadała ona.

Kogo będą słuchać? Mnie czy ciebie? Jak ci się wydaje? Kogo się słucha na tym świecie, dorosłych ludzi czy małe dziewczynki? Mężczyzn czy kobiety? Rozejrzyj się i powiedz. Wiem, że podkradasz matce gazety. Co w nich wyczytałaś? Komu to bardziej zaszkodzi, jeśli powiesz? Kto będzie musiał odejść, Ursel, gdzieś daleko, w zapomnienie, gdzie nikt cię nie znajdzie? Kto się będzie wstydził? Kogo będzie się wstydziła twoja matka? Twoja babka? Gdzie w tym wszystkim jesteś, Ursel, jak ci się wydaje?

Nie, nigdy nie pyta wprost, słowami. On po prostu patrzy, dotyka cię, kieruje tobą, robi ci różne rzeczy, a potem ty robisz różne rzeczy jemu i wiesz, po prostu wiesz, co masz myśleć, czego masz się bać. I jesteś posłuszna. Zawsze jesteś posłuszna.

Każda Zmora jest inna.

Moja Zmora nie chce mnie zabić i nie chce mojego oddechu. Chce czegoś innego, wciąż od nowa. I kiedy o tym wiesz, kiedy wiesz o czymś takim, zaczynasz myśleć, że pewne rzeczy nigdy się nie skończą. I jest jak wtedy, gdy idziesz ponurym tunelem, patrzysz na swój parujący oddech, na coraz rzadsze, gasnące światła, na obniżający się sufit i śliską podłogę, na której gubisz krok, i nagle już rozumiesz. Wyjście nie istnieje, Dörte. Ten tunel jest wszystkim, co masz.

Mężczyźni rządzą światem, a kobiety powinny być im posłuszne. Tak mówi zawsze nasza – moja i twoja – babcia, kiedy w gazetach pojawia się jakaś wzmianka o sufrażystkach i kolejnym kraju, który przyznał kobietom prawa wyborcze. „Teraz im się nagle zachciało”. „A przecież wcześniej”. „Przez setki lat”. „I nikomu nie przeszkadzało”. „Niektórym to się w głowie przewraca”. Chodzi o to, że kobiety zawsze słuchały, a teraz nie chcą, teraz wolą same decydować, zarabiać na siebie i płacić swoje rachunki, wybierać mężów, chodzić do kabaretów i zasiadać w Reichstagu. Według babci jest to bardzo niespodziewane i wzięło się nie wiadomo skąd. Nikt mnie oczywiście nigdy o nic nie pytał, ale miałam na ten temat swoje zdanie. I jeśli chcesz je znać, to ci powiem, że widzę tu głaskanie. Ktoś głaszcze cię po głowie. Raz. Jest to miłe. Potem drugi. Nadal miłe. Trzeci. Miłe, ale chcesz, żeby już przestano. Dziesiąty. Jesteś zirytowana, ale nic nie mówisz, bo czujesz,

że głaskanie powinno ci się podobać. Pięćdziesiąty. Piecze cię skóra na głowie i wiercisz się na krześle, chciałabyś wstać i wyjść, ale jeszcze siedzisz. Osiemdziesiąty. Czujesz, jak od środka zalewa cię paląca wściekłość, tak wielka, że masz ochotę wybić szybę w oknie. Zastanawiasz się nad sobą. Przypominasz sobie swoje słowa wypowiedziane przy dwudziestym razie. „Czy możesz przestać?” Słowa przy pięćdziesiątym: „Drażni mnie to, proszę, przestań”. Przy osiemdziesiątym: „Przestań, nie lubię tego, nie cierpię”. Wtedy słyszysz, że zachowujesz się jak histeryczka i nie wiesz, co dla ciebie dobre, bo przecież głaskanie jest przyjemne, każdy ci to powie. I wreszcie setny raz. Wstajesz, zwijasz dłoń w pięść i czujesz już tylko agresję. A przecież prosiłaś. Prosiłaś grzecznie. Moim zdaniem tak to właśnie jest z kobietami, które przez długi czas grzecznie o coś proszą. I nie ma się co dziwić, że później są manifestacje i transparenty. Ale mogę się mylić.

Babcia nieustannie powtarzała, że trzeba się słuchać mężczyzn, ale u nas w domu zawsze były jednak głównie kobiety. O wszystko dbały i wszystkim się zajmowały, a mężczyźni jakoś tak umierali, znikali i mało się o nich na co dzień myślało. Zostawały po nich tylko groby, pustka i całe mnóstwo pytań. Mój dziadek odszedł. Mój tata... Tata pojechał na polowanie i miał wypadek, bardzo niefortunny. Tak się czasem określa czyjąś śmierć, że była niefortonna, jeśli następuje przez przypadek i w dość głupi sposób. Chcesz sobie palnąć do kaczki, a kończysz

z dziurą w czaszce. Ktoś tak powiedział, ale nie pamiętam kto. Dla mnie liczyło się tyle, że tata nagle przestał być. Ponoć to właśnie krzyczałam, biegnąc od pokoju do pokoju i potykając się w progach, „tato, tato, dlaczego przestałeś być”. Nikt nie kichał głośno o poranku, nikt nie chrapał po obiedzie, nikt się nie zaśmiewał z żartów mojej mamy, nikt jej nie podszczypywał w prawe żebro i nie mówił: „Trude, Trude, jakaś ty chuda, gdzie twoje mięsko”. Bo mama zawsze była bardzo szczupła. Tata przestał być. I przez jakiś czas wszyscy płakali.

Potem wybuchła wojna, która – jak mówią – „pochłonięła wiele istnień”, co jest bardzo ładnym określeniem śmierci milionów ludzi. I te „istnienia” to przede wszystkim mężczyźni. Zostało ich mało, więc panie nie miały dużego wyboru i nie mogły – po tej wojnie – narzekać. Nasza sąsiadka mówiła nawet, że wystarczy, „byleby jakoś wyglądał” i „umiał coś zarobić”. Inna sąsiadka zaś, że właśnie nie, że to błąd, bo teraz kobiety muszą „wypełnić lukę” i „wykarczować sobie ścieżki” do „nowych karier, zawodów i edukacji”, zawalczyć o „naprawdę równe szanse”. Niewiele z tego rozumiałam i chyba niewiele rozumiem nadal, ale usłyszałam jeszcze od tamtej sąsiadki, że teraz kobiety, zamiast „wykorzystać moment, łapią się za byle co”. Bo nie umieją same. Bo tak zostały nauczone, że w domu musi być jakiś mąż, jakiś ojciec, muszą być jakieś spodnie, które wszystkim się zajmą. A kiedy w domu są spodnie, wracasz do ulubionych zajęć, wracasz do kupowania wstążek

i pantofelków na obcasiku, do plotek przy herbatce i obgadywania nowej służącej kuzynki swojej ciotki. Koniec zgryzot. Koniec martwienia się, że coś od ciebie zależy. Bo to jest zawsze wielka odpowiedzialność, Dörte, kiedy coś od ciebie zależy, nawet jeśli tym czymś jest twoje własne życie. Najlepiej więc komuś tę odpowiedzialność przekazać. Nie obciążać się nią. Nie zaprzętać przyziemnymi problemami „swojej ślicznej główki”. I nic się nigdy nie zmieni, zawsze będzie tak samo, choćby nie wiadomo ile przetoczyło się wojen, rewolucji i krzyczących sufrażystek na ulicach.

Słyszałam więc różne głosy, Dörte, i widziałam różne słowa w gazetach. Trudno się było w tym wszystkim połapać. Trudno było zdecydować, co się powinno myśleć, zwłaszcza że w domu nikt nie oczekiwał ode mnie myślenia. A jeśli nie myślisz, to skąd wiesz, kim jesteś?

Opowiadałam ci to wszystko, bo chyba tak właśnie uważała po wojnie moja mama – że w domu musi być jakiś mąż. I stąd się wzięła Zmora.

Zmora mówiła, że mnie kocha i dlatego przychodzi. Że bardzo mnie kocha i zrobiłaby dla mnie wszystko, jeszcze się o tym przekonam, zobaczę, wtedy jej uwierzę. Da mi to, czego nie dał nikt inny. Za kilka lat będę mieszkać w pięknym pałacu, z ogrodem i drewnianą werandą, z parkiem, w którym rosną stare drzewa. Dookoła będziemy mieć własne pola, łąki i lasy, a kawałek dalej będzie miasteczko z ceglanyimi budynkami i starym kamiennym kościołem.

I w tym miasteczku wszyscy będą mnie znać. Zmora kupi mi najmodniejsze sukienki i kapelusze. I płaszczyk, koniecznie nowy płaszczyk, mój wymarzony, soczyście błękitny. Wszyscy będą mi się kłaniać, zapraszać mnie na przyjęcia, częstować słodkimi likierami i ciastem. Dostanę własną lożę w berlińskim teatrze i osobiście poznam gwiazdy niemieckiego kina. To już naprawdę nie będzie dla mnie problem, stanę się przecież kimś, bo zawsze jesteś kimś, jeśli masz własny pałac. I do tej rzeczy – stania się kimś – już niewiele brakuje. Muszę tylko trochę poczekać. Ona tak to właśnie widziała, zawsze tak powtarzała. Słowa, które miały mnie uspokoić, słowa, które miały mnie uciśzyć. Prezent, który miałam otrzymać po. Obiecana zapłata. Niektórym dziewczynom się płaci. Widocznie mnie też.

Nie mówiłam, że wiem, o jakim pałacu z drewnianą werandą opowiada. Że jest to pałac, który nie należy do nas i ma już właścicielkę. Jakim cudem coś, co nie należy do nas, stanie się nasze? Zakładałam, że jest na to jakiś plan, ale nie pytałam o szczegóły. Owszem, świat, w którym jedna dziewczyna ma odziedziczyć pałac, a druga nie, wydaje mi się nadal niesprawiedliwym światem, ale ostatecznie to przecież nie jest twoja wina, Dörte. Wiedziałam, że jeśli Zmora coś postanowi, tak się stanie, choćbyś się bardzo starała jej przeszkodzić, choćbyś próbowała albo prosiła. Jeśli poprosisz, Zmora cię wyśmieje. Tak dobrotliwie i łagodnie, jak się wyśmiewa dziecko, które prosi o zbyt drogą lalkę. Powie, że robi to dla twojego dobra, wszystko

tak przedstawi, że to ty poczujesz się głupia. Głupia, słaba i nieważna. Poczujesz się rozpuszczoną histeryczką ze zbyt wybujałą wyobraźnią. Poczujesz się nikim.

Bo przecież to jej ludzie słuchają. Ona tylko patrzy. Uśmiecha się, wypowiada kilka słów. Czasem dotyka – ramienia albo dłoni – i już dzieją się rzeczy. Człowiek jej słucha, człowiek jej nie odmawia. Tak jak ja.

Rozumiesz więc, że nic nie mogłam zrobić, Dörte. Dlatego tu jesteśmy.

Zaczęłam się w tym wszystkim orientować chyba dzięki braciom Grimm. Jeśli myślisz, że świat i ludzi można poznać tylko dzięki gazetom, to jesteś w błędzie, choć ja przez chwilę właśnie tak myślałam. Gazety podają ci zwykłe historie opisane zwykłymi słowami, zestawionymi może w sposób nieco inny, niż robi się to na co dzień, i może nieco rzadszymi lub elegantszymi, bo na przykład zamiast „głupi” pisze się „niemądry”, co przecież na jedno wychodzi, ale jednak są to słowa normalne. Normalne słowa, normalne historie, miejsca, które znasz. Czytasz gazetę i myślisz sobie, że równie dobrze mogliby napisać o tobie. Rozpoznajesz siebie w bohaterach artykułów. Masz takie same cechy, a na zdjęciach widzisz twarze podobne do swojej. Gazeta daje ci opowieść o twoim świecie, o ludziach, których mijasz na ulicy, daje ci coś, w co bez problemu wierzysz, bo przecież wiesz, że ludzie kochają, nienawidzą, zbierają pieniądze na biednych, grają w teatrach, chodzą na koncerty,

zdradzają się, oszukują, kradną i zabijają. Czytasz o tym, że gdzieś znaleziono martwą kobietę, i myślisz, że wczoraj przechodziłaś nieopodal, że prawie, prawie to widziałas. Czytasz i od razu tam jesteś. Jesteś wszędzie, w wielu miejscach naraz. Jesteś zorientowana. Oto moc gazety.

U Grimmów dostajesz inną opowieść. Nieprawdopodobną, magiczną, a przez to niby daleką od życia. Czy ktoś widział, jak po Berlinie maszeruje Czerwony Kapturek, Knoist albo siedmiu zuchów ze Szwabii? No przecież nie. Podobnie jak wydaje nam się, że w prawdziwym życiu nie ma złych czarownic i smolucha, diabłego kamrata. Tyle że przecież są, prawda? Grimmowie to wiedzieli i sprytnie ukryli prawdę pod czarami, zatrutymi strumykami i duchami w butelkach. Pamiętasz, Dörte, jak czytałyśmy Grimmów pewnego lata u ciebie w pałacu, który kiedyś miał się stać mój? Wtedy szczególnie nam się podobała – choć nie wiem, czy to dobre słowo – opowieść o dziewczynie bez rąk. Ojciec pod wpływem podstępnej obietnicy ją oddać diabłu, ale dziewczyna jest sprytna i udaje jej się od tego wymigać, ale po drodze doświadcza wielu nieprzyjemności, na przykład takiej, że ojciec na rozkaz diabła odrąbuje jej ręce. Diabeł oczywiście ojcu grozi. Jeśli nie zrobi tego, czego żąda, przyjdzie po niego. Z takim tłumaczeniem ojciec idzie do dziewczyny, „Muszę ci odrąbać ręce – mówi – inaczej diabeł mnie uprowadzi”. To ty czytałaś na głos ten fragment, Dörte, i najpierw uśmiechałaś się tajemniczo, że niby straszna historia, a za oknami jest

ciemna noc i kto wie – może i nas jakie licho nawiedzi? Zaraz jednak odsunęłaś książkę i się skrzywiłaś.

„Dlaczego on to zrobił?” Takie pytanie zadałaś. „W zasadzie dlaczego, skoro był jej ojcem? Czy dla ratowania córki nie powinien się raczej oddalić z diabłem, a dziewczynie pozwolić odejść wolno?”

Zawsze cię podziwiałam, Dörte, za twój sposób myślenia. Znałaś swoją wartość, wiedziałaś, że możesz o różnych rzeczach marzyć i różnych rzeczy oczekiwać, że masz obowiązki wobec innych, ale inni też powinni mieć obowiązki wobec ciebie. Ja nigdy nie sądziłam, że czegoś mogę oczekiwać. Że ktoś jest mi coś winien. Że się mogę o różne rzeczy upomnieć. Brałam to, co dostawałam, oddawałam to, co mi kazano oddać. Byłam przecież dzieckiem, a dzieci muszą słuchać. Byłam dziewczyną, a dziewczyny muszą słuchać, muszą się podobać i słuchać, dziewczyny to właśnie muszą. Tyle przecież każdy wie. To oczywiste jak fakt, że głaskanie jest przyjemne. Więc gdyby Zmora przyszła odrąbać mi dłonie, nie próbowałabym dyskutować.

To była właśnie tamta chwila, Dörte, kiedy na chwilę przestałaś czytać. Pomyślałam, że nie boję się już Grimmów i ich historii, nie boję się ich magicznej otoczki, wróżek, skrzatów i gadających potoków. Boję się tego, co jest pod spodem. Prawdy, którą wydłubali z życia i wtłoczyli w opowieść. Bo tak przecież jest i tacy są ludzie, mnóstwo mężczyzn, którzy przychodzą po dziewczęta, i mnóstwo ojców, którzy nie przejmują się czymś takim jak poświęcenie,

mnóstwo ojców, którzy odrąbują ręce. „Jak to odrąbują?”
chciałaś wiedzieć. Byłaś blada i zrobiło mi się nagle bardzo
ciebie żal. Nic nie wiedziałaś, nie mieszkałaś w Berlinie jak
ja. Nie mieszkałaś w wielu miejscach, nie przeprowadzałaś
się, nie musiałaś zaczynać od nowa i uczyć się prawdy
o ludziach, za każdym razem mając nadzieję, że może
teraz odkryjesz coś innego, że może w tym miejscu jest
jakiś lepszy fragment świata i ludzie inaczej postępują.
Ale wszędzie jest tak samo, Dörte. Czasami różne rzeczy
skuteczniej się po prostu ukrywa. No więc powiedziałam
ci wtedy, że z tymi rękami to nie tak dosłownie – albo
przynajmniej nie zawsze – jednak ojcowie robią różne
rzeczy na szkodę swoich córek, bo liczy się tylko to, czego
chce mężczyzna, który po nie przychodzi. Nie spodobało
ci się to. Powiedziałaś, że twój ojciec nigdy by tak nie po-
stąpił, twój ojciec chciał dla ciebie dobrze, twój ojciec cię
zabezpieczył, dał ci przyszłość, myślał o tobie, o twoim
losie i po prostu zrobił wszystko... Nie mogłam wyznaczyć
ci wtedy prawdy, nie mogłam powiedzieć, że jesteś w błę-
dzie i tak naprawdę nie masz nic. Że coś ewentualnie
możesz dostać, jeśli ktoś inny ci na to pozwoli, ale wcale
nie musisz.

Nie wiedziałaś. Jeszcze wtedy nie wiedziałaś, Dörte,
i nawet sobie nie umiałaś wyobrazić.

Miałaś jakieś przeczucia. Byłaś jak czujne zwierzę, które
węszy niebezpieczeństwo, choć nie widzi jeszcze zagroże-
nia. Patrzyłam na to, patrzyłam, jak obserwujesz i jak nie

ufasz, ale ogólnie się starasz i nadrabiasz miną, i zdobywasz się na uprzejmość. Wymuszoną, co wszyscy widzieli, a już zwłaszcza babcia. Ja wiem, Dörte, wiem. Sądziłaś, że nic nie jesteś nikomu winna, że różne rzeczy możesz, ale żadnej nie musisz i masz na to odpowiednie papiery. Byłaś ostrożna i stopniowo zaczynałaś wyrażać obawy, ale jeszcze się wtedy nie bałaś, widziałam tylko odrazę, sposób, w jaki się od niego odsuwasz, w jaki wybierasz miejsce z dala, w jaki odwracasz głowę, w jaki przewracasz oczami, kiedy nie patrzy. Już wtedy chciałam ci powiedzieć, żebyś uważała, bo jeśli ja takie rzeczy widzę, to widzą wszyscy i on na pewno też. Nie był głupi. Nie cierpiał, kiedy ktoś z niego szydził, kiedy go uważano za kogoś niższego i niewartego zainteresowania. Ja wiem, Dörte, wiem. Wcale tak nie myślałaś, że jest niewart, wcale nie szydziłaś, może w ogóle nie myślałaś o tym, co ma, skąd pochodzi i czym się zajmuje. Może ci chodziło tylko o niego, o to, kim jest, jak ty go widzisz, co w nim dostrzegasz. Tylko o to, co ci się nie podoba, co budzi twoją niechęć. Może myślałaś, że po prostu masz prawo go nie lubić, bo ludzie mają przecież prawo nie lubić innych ludzi. Ale nie, Dörte, nie miałaś prawa.

Był rok 1919, kiedy wszystko się zaczęło. Różne rzeczy, na przykład zmiana świata, jak mówią, zaczęła się wtedy. Po wojnie, której początek słabo pamiętam, zrobiło się gorzej, choć przecież wszyscy się cieszyli, kiedy się skończyła, że już po, nawet jeśli przegraliśmy i mało kto

wiedział, co teraz. Widziałam taką niską, zgarbioną kobietę na ulicy, która okropnie zawodziła, bo jej synowie zginęli i wnukowie zginęli, i wszyscy co do jednego – więc jak się cieszyć, ile nam z tego przyszło i po co była ta wojna? Zapytałam o to mamę, ale nie umiała odpowiedzieć. Wtedy wtrąciła się babcia, że było morderstwo jakiegoś księcia i wielu przywódców państw w związku z tym się zdenerwowało, ale tak naprawdę już wcześniej „sytuacja była napięta” i różni ludzie chcieli zmian, bo wszystko było ich zdaniem zbyt przestarzałe i źle działające. Na przykład królowie już chyba niepotrzebni i teraz, po wojnie, wielu królów i cesarzy już nie ma. Są prezydenci, jak u nas. Było mi to naprawdę zupełnie obojętne, czy król, czy prezydent, chciałam tylko wiedzieć, czy coś się zmieni dla nas, czy będzie nam lepiej czy gorzej. Jeśli mam być szczerą, wydawało mi się, że skoro już zmarł mój ojciec, i to w niezbyt mądrym, mówiąc słowami z gazet, sposób, bo w wyniku wypadku na polowaniu, a później moja mama poznała całkiem dobrego człowieka, weterynarza, i ten dobry człowiek też zmarł na szalejącą wówczas gripę, to zapas nieszczęść został już dla nas wyczerpany. Do nieszczęść zaliczyłam także oczywiście wojnę, bo pastor w kościele mówił, że wojna dotyczy wszystkich i to wspólne nieszczęście, nad którym musimy ubolewać. Więc myślałam, to już koniec i odtąd będzie spokojnie.

Potem były zamieszki w Berlinie i mama nazwała je „powstaniem robotników”. Nie pytałam o szczegóły,

ale bardzo się zmartwiłam, kiedy babcia z mamą czytały w gazetach – już po tym powstaniu – że w Landwehrkanal pływało ciało jakiejś Róży Luksemburg, która była z tymi zamieszkanymi powiązana. Że ta Róża została zastrzelona, zamordowana. „Mój Boże – powiedziała mama – nie dość, że ją zabito, to jeszcze tyle miesięcy pływała w tej wodzie. To straszne. Nikt nawet nie wiedział i nie miała grobu... Na takie coś to żaden człowiek nie zasłużył”.

Nie zająknęła się wtedy nawet o poglądach tej Róży Luksemburg, czy je podziela, czy nie, czy ją kiedykolwiek interesowały. Obchodził ją człowiek. Brak poszanowania dla ciała, oburzenie z powodu braku godziwego pochówku. Tak się nie postępuje w cywilizowanym kraju, nawet w strachu „przed komunistami”. Nadal nie zadawałam pytań. Miałam jedenaście lat i nie mogłam zapanować nad obrazami, które tłoczyły się w moich myślach, nad widokiem Landwehrkanal i zielonkawego ciała w zielonkawej wodzie. Spacerowaliśmy czasem wzdłuż tego kanału, kiedy mieszkaliśmy w Berlinie, było tam bardzo ładnie i lubiłam patrzeć na łodzie i na mosty.

„A może lepiej tak płynąć, może to nie jest złe życie po śmierci, przynajmniej ciało ma swobodę, unosi się, to dość przyjemne unosić się na wodzie”, powiedziałam.

Babcia nakrzyczała na mamę, że mówi przy mnie różne rzeczy, których nie powinnam słuchać. Już wtedy wieczorami czytałam Grimmów i chciałam zaprotestować, skwitować, że Grimmowie piszą o jeszcze straszniejszych

rzeczach niż ciała wyławiane z kanałów, jak choćby te od-
rąbane ręce córki, ale ostatecznie milczałam. Babcia biła
mnie po dłoniach, kiedy bywałam nieposłuszna lub robi-
łam coś, co jej się nie podobało, uważała, że bicie po ręk-
kach jest mniej upokarzające dla dziewczynki w moim
wieku niż lanie pasem po pupie, ale jeśli mam być szcze-
ra, mięśnie pośladkowe zniosą więcej niż delikatna skór-
ka na dłoniach, która jest tak blisko kości. A babcia biła
naprawdę mocno i zostawały ślady. Później były proble-
my z pisaniem, a w szkole pytali, czym sobie zasłużyłam.
Nikommu nigdy nie przyszło do głowy, że ktoś mnie może
krzywdzić bez powodu albo z powodu wymyślonego czy
„urojonego” – słowo z gazety – więc i ja sama przestałam
tak myśleć. Wszystkie dzieci się bije. „Nie jesteś wyjątkowa,
Ursel”. Zaczęłam się raczej zastanawiać, co babcie skłania
do bicia mnie po rękach, czy można tu ustalić jakiś dzień
tygodnia albo konkretne wydarzenia ze świata, które wy-
prowadzają ją z równowagi. Czasem już od rana widziałam,
że łatwo ją będzie sprowokować, ale czasem to się działo
niespodziewanie i wtedy nic nie mogłam zrobić.

Tamta Róża, w każdym razie, pływała w kanale, a ja po-
myślałam, że chyba wydarzy się coś złego. Nie w Berlinie,
na ulicach, w kraju w ogóle, ale w naszym domu. I tylko
nas będzie dotyczyło. Nie od razu wiedziałam, że ty też
się w tym znajdziesz, Dörte, że do ciebie to doprowadzi.
On nie od razu obiecał mi pałac. Nigdy nie chciałam pałacu,
nigdy w ogóle nie chciałam niczego, co do ciebie należało.

Owszem, zazdrościłam ci, że będziesz mieć tę drewnianą werandę na własność, że mieszkasz tam sobie tylko z nauczycielką, która w gruncie rzeczy jest bardziej twoją przyjaciółką, że za towarzystwo macie jedynie służbę, więc w zasadzie możecie robić wszystko, co chcecie, rozmawiać, o czym chcecie, czytać, co chcecie, chodzić, dokąd chcecie. Wydawało mi się, że to piękna wizja, bardzo piękna, prawie przerażająca, bo przecież trzeba samemu wybierać. Tłumaczyłaś mi to kiedyś. „Panna Zahn chce, żebym była silna i samodzielna”.

Panna Zahn, panna Bertha. Piękna i mądra. Na pewno wiesz, że nasza babcia od początku jej nie cierpiała i jedyne, z czego czerpała satysfakcję, to fakt, że panna Zahn nie zdążyła wyjść za twojego ojca. Ale ty żałujesz, prawda? Miałaś macochę, byłabyś jeszcze bardziej wolna niż teraz, obie byście były, a tak jesteście coraz mniej, aż wreszcie wszystko się skończy. Musisz jednak wiedzieć, Dörte, że ja nie chciałam twojego pałacu i twojego życia. To znaczy może i chciałam, ale nie w ten sposób, by ci to wszystko najpierw odebrać. Nie bardzo też umiałam sobie takie życie wyobrazić. Życie, w którym nie dostaję po łapach za „bezczelność”. W którym nie muszę kombinować, skąd się biorą cudze złe nastroje i co one dla mnie oznaczają.

I jeszcze, Dörte, zastanawiałam się, jak to jest mieć jeden prawdziwy dom. Taki, w którym mieszkasz nieustannie, do którego wracasz z innych miejsc, zawsze wiedząc,

że tam byłaś obca, ale tu jesteś u siebie. Ja mieszkałam w Perlebergu, Berlinie i Kellinghusen, a stamtąd przeprowadzaliśmy się dalej, wiesz dlaczego i gdzie. Z Perlebergu do Berlina dlatego, że mama miała ponoć po śmierci taty romans z żonatym mężczyzną, właścicielem fabryki. Wiedziałam który to i faktycznie bywał czasem u nas w domu, ale mama się pilnowała i kiedy ja i Irma, moja młodsza siostra, byliśmy w pobliżu, to zawsze była tylko herbata w salonie i ciasto, no ewentualnie jakiś koniak albo likier, więc doprawdy żaden szczyt rozpusty, jak by napisano w tych nie najlepszych gazetach, które mama chowa do szuflady z kluczem. Potem jednak my szliśmy spać, a oni zostawali, tak że już wtedy nie mogłam zobaczyć, co robią. I nawet bym nie chciała, ciekawość i potrzeba zdobycia wiedzy o świecie też mają swoje granice. Trudno o tym mówić, bo rzecz dotyczy mojej mamy, ale skoro tak wtedy postępowała i – jak wyraziła się babcia – „naraziła na szwank swoją reputację”, musiała to zrobić z ważnego powodu. Żadnego nie umiem wymyślić, więc pozostaje mi uznać, że była zakochana. Miłość jest ślepa, jak piszą w gazetach i książkach, więc trzeba być trochę wyrozumiałym. Ludzie nie dzielają jednak zazwyczaj tego ostatniego poglądu i choć nie mamy średniowiecza, zaczęli gadać, a z gadania nigdy nie przychodzi nic dobrego. Koleżanka szepnęła mi nawet na ucho, że ktoś tego właściciela fabryki podejrzewa o majstrowanie przy broni mojego taty, a to by stawiało pod znakiem zapytania całą

wypadek i „niefortunną” śmierć. Nakrzyczałam na tamtą dziewczynkę, a potem przez jakiś czas dzieci z sąsiedztwa w ogóle się do mnie nie odzywały.

Po „incydencie” z właścicielem fabryki babcia mówiła przez cały czas „co za wstyd” i „jesteśmy przecież szanowaną rodziną”, z czego wyciągnęłam wniosek, że skandale są tylko w szanowanych rodzinach, bo jeśli chodzi o nieszanowane, to każdemu wszystko jedno. Mama się broniła, „niczego złego nie zrobiłam”, mówiła. Ale wiesz, Dörte, że ludzie mają swoje poglądy na zło i dobro i czasem naprawdę trudno się w tym wszystkim zorientować. W każdym razie skończyło się tak, że ten fabrykant się wyprowadził i my także przeniosłyśmy się do Berlina. Zawsze lubiłam Berlin. Mieszkał tu mój dziadek od strony nieszczęsnego taty i kojarzyłam to miasto głównie z przyjemnościami. Z lodami i ciastem w cukierni, z wesołym miasteczkiem, z gwarem i tłumem, który wydawał mi się wesoły i pełen entuzjazmu, jak gdyby nie składał się z wielu małych istot, ale był jedną wielką, myślącą i czującą to samo. Lecz po wojnie Berlin się zmienił. Wszędzie ciągnęły się kolejki, ludzkie taśmy, a każdy z tej taśmy miał poszarzałą i zmęczoną twarz, i albo łachmany, albo przynajmniej dziurawe buty. Po jedzeniu tak stali, po zupełną się nalewało wielką chochlą. I czasem był problem, bo brakło misek, a mało kto miał swoją. Widziało się okna zabite deskami i zamknięte sklepy, i młode panie, które dziwnie popatrywały na dobrze ubranych mężczyzn,

takich w czystych płaszczach i całym obuwiu. Zachęcająco popatrywały, ale i ze strachem, i prostowały się, wypinały, prezentując wyschnięte od głodu biusty. Jedna miała podbite oko. Inna za to śmiała się wesoło i przyjmowała w podarunku dużą białą bułkę, jak gdyby to był bukiet kwiatów.

Dziadziuś powtarzał, że Berlin się dźwiga po wojennej porażce – tu padało zawsze kilka słów o inflacji, a ja słuchałam jednym uchem – i wszystko już na pewno będzie szło ku dobremu. Kiedy patrzyłam na idące przez miasto tanecznym krokiem eleganckie panie w sukienkach ledwie za kolano i płytkich pantofelkach, naprawdę w to wierzyłam, choć przecież czas pokazał, że nic ku dobremu raczej nie szło, przynajmniej w najbliższych latach. Te panie były jednak jak z innego świata, lepszego i piękniejszego, słodkiego i pachnącego, w którym nie ma się zmartwień, a jedynie marzenia, oczywiście takie, które zawsze się spełniają. I te panie nosiły na dodatek krótkie włosy, Dörte. Pamiętasz, jak o tym rozmawiałyśmy? Pamiętasz, jak rozmawiałyśmy o pantoflach? Obie nosiłyśmy wtedy jeszcze staromodne czarne buty za kostkę, z guziczkami i pętelkami, które tak się mozolnie zapinało. Obie chciałyśmy mieć krótkie włosy i jasne, płytkie pantofelki, ale ostatecznie żadna z nas niczego takiego nie miała.

Był więc rok 1919 i kilka tygodni po tym, jak czytaliśmy w gazetach o wyłowieniu z kanału Róży Luksemburg, mama powiedziała, że znalazła bardzo zabawne ogłoszenie

w gazecie i zamierza na nie odpowiedzieć, bo „może a nuż”. Babcia od razu wiedziała, o co chodzi, ale ja musiałam się chwilę zastanowić, a potem – kiedy nie patrzyły – podbrać gazetę i przeczytać. Zawsze tak zresztą robiłam, podbierałam gazety i później odkładałam je na miejsce, więc to nie kradzież. Uważałam, że gazeta do spółki z Grimmami da mi jakąś wiedzę o świecie, taką, której nie przekażą mi mama z babcią. Z ogłoszeniem chodziło o to, że jakiś pan chciał poznać panią, i mama wykazała zainteresowanie. Minął już prawie rok od wojny, kobiet nadal było na świecie więcej, a mężczyzn mniej, ona zaś nie młodziła, więc wołała nie zwlekać. Miała trzydzieści siedem lat i dwie córki, mnie i Irmę, a babcia powtarzała, że chyba tylko desperat „zgodzi się na to wszystko”. Podśluchałam też, jak dyskutowały o tym, co będzie, jeśli się ewentualnie nie zgodzi i zdecyduje na samą mamę. Wtedy ja i Irma miałyśmy zamieszkać osobno z babcią, a ona ze swoim nowym mężem, o ile dobrze zrozumiałam. Dzieci czasem przeszkadzają na nowej drodze życia, bo wciąż w oczywisty sposób przypominają o starej. Nie ukrywam, że się zastanawiałam, jak to będzie. Nie chciałam mieszkać tylko z babcią. Budziła we mnie lęk. Mama jednak mówiła zawsze, że babcię trzeba kochać i szanować, więc szanowałam i udawałam, że kocham. Ty, Dörte, nigdy tego nie udawałaś i pod tym względem byłaś także silniejsza i mądrzejsza ode mnie. A babcia – choć łączą ją z tobą takie same więzy krwi jak ze mną – nie miała śmiałości

podnieść na ciebie ręki. Nawet jeśli chciała. A zapewniam cię, że chciała.

Tamtym człowiekiem z ogłoszenia był Peter Grupen, jak zapewne wiesz. Spodobał się mamie, a mama – najwidoczniej – spodobała się jemu, choć była o całe trzynaście lat starsza i wszyscy się temu bardzo dziwili, babcia, sąsiedzi, przyjaciółki. Owszem, wciąż uchodziła za dość „przystojną” kobietę i umiała się elegancko ubrać, poza tym robiła niezłe wrażenie, potrafiła się dobrze wysławiać i miała manieri prawie damy. Poza manierami miała też sporo pieniędzy, nigdy nie wiedziałam, ile dokładnie, ale wchodziły w to jakieś kwoty z nieruchomości w Rostocku i spadek po tacie, który był farmaceutą i prowadził aptekę. Własne pieniądze i biżuterię miała też babcia, wdowa po bankierze. Zawsze mi powtarzała, że jesteśmy dobrą rodziną. Nie hrabiowską, ale dobrą, rodziną na pewnym poziomie. Myślę, że w takich sprawach jak planowanie małżeństwa wszystkie te rzeczy nie są bez znaczenia. Mama miała też tak ogólnie całkiem przyjemny charakter, choć zdarzały się i jej momenty słabości, kiedy wypowiadała się w mniej wyrafinowany sposób, a nawet podnosiła głos. To ostatnie działo się przeważnie po tym, jak przynosiła któryś ze swoich likierów lub wino. Lubiała sobie czasem wypić. Babcia mówiła, że trzeba ją zrozumieć, czasy są bardzo ciężkie, a mamy los nie oszczędzał, najpierw mąż, później narzeczony, pogrzebane nadzieje, wychowywanie dzieci w pojedynkę, wizja samotnego

starzenia się. Nie było jej łatwo. Kiwałał głową i oczywiście starałam się mamę zrozumieć, chciałam dla niej dobrze, kochałam mamę mocno i wcale tego nie musiałam udawać.

No więc kiedy przyszła do domu z Peterem, byłam bardzo grzeczna. Poinstruowałam nawet małą Irmę, że ma się zachowywać, że ma nie robić tego, co zawsze robiła podczas posiłków, czyli po pierwsze, nie używała noża, a po drugie, sięgała po jedzenie dłonią, nawet po tłuczone ziemniaki. Wiedziałam dobrze, że Irma wydlubuje je czasem palcami z talerza i wpycha sobie do buzi, potem długo przeżuwa, i przy człowieku z ogłoszenia nie mogło do tego dojść. Przez wzgląd na mamę. Nie chciałam, by samotnie piła te likiery, a później płakała. Pomyślałam, że dzięki panu Grupenowi będzie weselsza i że my również będziemy. I że na pewno po ślubie nas nie odeśle, bo przecież kocha i mnie, i Irmę. Nic nas nie rozdzieli.

Miałam rację, Dörte, nic nas nie rozdzieliło, choć teraz już nie wiem, czy to dobrze. Chyba lepiej się było mylić, nawet jeśli zdaję sobie sprawę, że dla mamy i tak nic by się nie zmieniło, nawet gdyby nas odesłała. Ale może dla mnie, dla Irmę i dla ciebie, a to już coś, trzy osoby, trzy historie. Mama nie poradziłaby sobie z nim tak czy owak. Ale my? Może bym miała jednak jakieś swoje życie. Może bym znalazła przyjaciółkę, z którą chodziłabym latem na łąkę i czytałabym na głos Grimmów, a później biegłabym do lasu w poszukiwaniu chatki z piernika. Może

bym miała chłopca, który przynosiłby mi maki, a ja bym się śmiała, że to nie są dobre kwiaty na wianki, bo płatki szybko z nich opadają. A ty? Ty byś przecież kiedyś dorosła. I miałabyś to wszystko tylko dla siebie, całe to bogactwo, całe to piękno. I nikogo byś nie musiała słuchać, niczego byś nie musiała słuchać, Dörte, poza własnym głosem. Zaprosiłabyś mnie czasem do siebie, a zamiast Grimmów czytałabyś mi *Proces* Kafki i co chwilę byś przerywała, aby mówić o sytuacjach bez wyjścia, o długich korytarzach, przez które się idzie nie wiadomo dlaczego, decyzjach, które ktoś podejmuje za nas, i o zbrodniach, których wcale nie chcemy popełniać, ale czasem nie ma wyjścia. Tak, Dörte. Pewnego dnia miałybyśmy zmarszczki i sflaczałe ramiona, na których mięśnie tak śmiesznie dyndają. I może wtedy wspomniałybyśmy moją mamę. Bo to by była tylko ona, ta osoba do wspominania. Tylko ona, my nie.

Pomyślisz pewnie, że wyrażam się w bezduszny sposób o losie mojej mamy. Nigdy nie przestałam jej kochać, to jasne. Musisz jednak zrozumieć, że jeśli coś się dzieje w domu z twoimi dziećmi, to ty po prostu wiesz, bo trudno, żebyś nie wiedziała. Lubię ją usprawiedliwiać i myśleć, że może jednak była ślepa, ale niestety ta teoria budzi spore wątpliwości. Skoro więc mama wiedziała, wiedziała o Zmorze, to nie mogę już kochać jej tak samo jak dawniej.

Gruppen chyba był przystojny, ale mnie trudno to jednoznacznie stwierdzić, bo jak wiesz, zawsze mi się podobał aktor Hugo Doebelin, który uchodzi powszechnie za raczej

brzydką osobę, więc nie mam pojęcia, co sądzić o swoim guście. Grupen na pewno podobał się kobietom, bo tyle to akurat nawet ja widziałam, choć babcia zawsze mówi, że nie jestem ani zbyt spostrzegawcza, ani szczególnie mądra. A będąc już przy babci – no cóż, ona także wodziła za nim wzrokiem od czasu do czasu, rumieniła się i chichotała, co wypadło dość żenująco. Zarówno mama, jak i Grupen udawali, że tego nie zauważają. Kiedy szliśmy wszyscy razem na spacer, kobiety odwracały się za nim, a dzieci witały go serdecznie jak dobrego wujka. Idealny Smaczny kąsek, jak powiedziałyby berlińskie koleżanki mamy, plotkując nad słodkimi likierami.

Przeprowadziliśmy się do kraju związkowego Szlezwik-Holsztyn, do miejscowości Kellinghusen, bo on, człowiek z ogłoszenia, mieszkał gdzieś w pobliżu. Były tam małe domki, często parterowe, niska zabudowa, wąskie drogi, kamienny kościół. W książce albo gazecie można by przeczytać, że uroczo, ale powiedzmy sobie szczerze – Berlin to nie był. Brakowało mi tamtego uczucia, jakie zawsze rodzi się w człowieku, kiedy przebywa w wielkim mieście. Uczucia, że jego serce bije równo z sercami innych mieszkańców, że jest jakiś wspólny rytm życia, jakaś melodia, którą razem nucimy. Nikomu innemu nie przyznałabym się do takich przemyśleń, ale sądzę, że ty akurat, Dörte, to zrozumiesz.

Kręciłam nosem na Kellinghusen, zaczynało się jednak mówić o ślubie i babcia zwróciła mi uwagę na moje ponoć niewłaściwe zachowanie. Po pierwsze, miałam brać,

co dostawałam, bo to ja, jako dziecko, muszę być posłuszną i zależna od woli starszych, a nie kierować się swoim własnym widzimisię. Dzieci nikt nie pyta o zdanie. Nie żebym specjalnie głośno wyrażała żal za Berlinem, ale widocznie musiałam powiedzieć o jedno słowo za dużo, skoro się zdenerwowała. Albo czytała w moich myślach. Co sądzisz, Dörte? Nie wydaje ci się, że oni po prostu słyszą, kiedy myślisz w sposób niewłaściwy? W każdym razie wtedy przyszło mi do głowy, że powinnam uważać na to, co myślę, bo być może w jakiś sposób przekłada się to na moje zachowanie, nad czym ja nie umiem zapanować. Nie pamiętam już, w której gazecie czytałam, że mózg ludzki jest bardzo skomplikowanym narządem kryjącym w sobie jeszcze wiele zagadek. O, właśnie. Z taką refleksją wyrwałam się kiedyś przy obiedzie, niestety z udziałem Grupena, i babcia bardzo się zdenerwowała, powiedziała, że mózg nie jest czymś, czym powinna się interesować młoda dziewczyna, i należy raczej zostawić takie rozważania chłopcom kształcącym się na przyszłych lekarzy. Nie umiałam milczeć, Dörte, nie wiem, co mnie wtedy podkusiło, po prostu słowa popłynęły i było za późno, by je na powrót połknąć.

„Dziewczeta też już teraz mogą się kształcić na lekarzy”, wyplułam z siebie, najpierw przełknąwszy potrawkę z królika, bo przecież nieelegancko jest mówić z pełnymi ustami.

Babcia zacisnęła zęby i odłożyła sztucce. Mama zaczęła się nerwowo śmiać i tłumaczyć, że przecież jestem tylko dzieckiem i nie warto słuchać, co wygaduję, bo to

nie ma najmniejszego sensu, nikt nie traktuje poważnie słów Ursel, więc czym tu się przejmować. „Dlaczego jej nie powiesz, że to ty mnie wychowujesz, a nie ona”, chciałam zapytać, ale pomyślałam, że to na pewno wyjdzie jeszcze gorzej, zacznie się awantura, mała Irma już chlipała nad talerzem, i być może Grupen się przestraszy. „Co za nieokrzesañcy – uzna. – Niegodni są moich wypiełgnowanych wąsów”. Muszę przyznać, że Grupen przy stole zachowywał się nienagannie i jadł pięknie, mimo że do dyspozycji miał tylko jedną rękę. Lewą stracił na wojnie. Od początku uchodził w naszej rodzinie za bohatera, który poświęcił się dla ojczyzny, bo honor kazał, i choć przeżył, zapłacił wysoką cenę. „To tylko trwała niepełnosprawność, ale proszę pamiętać, ilu chłopców zginęło”. Zawsze to powtarzał, kiedy ktoś – dyskretnie lub nie – zaczynał temat ręki i wydaje mi się, że po prostu wołał tę kwestię wyjaśnić od razu. Inaczej rozmówca gotów byłby pomyśleć, że Grupen jest takim zwykłym kaleką, a nie kaleką wojennym. Wiadomo, że kalecy wojenni to zupełnie inna kategoria ludzi. Nie tylko się im współczuje, lecz także się ich podziwia.

Babcia wzięła mnie po tamtym obiedzie do kuchni, a mama nic nie powiedziała, nie stanęła w mojej obronie, więc pomyślałam, że słusznie oberwę, bo znowu to ja zrobiłam coś złego.

„Co ty sobie myślisz?!”, syknęła.

Tym razem nie ręce, ale policzek. Po raz pierwszy dostałam w twarz i byłam tak zaskoczona, że od razu, po

chrześcijańsku, nadstawiłam drugi. I w drugi też obe-
rwałam. Piekła mnie skóra i gwizdało w uszach. Ale
przede wszystkim, Dörte, czułam wstyd. Ty nie wiesz,
jak to jest, bo miałaś najpierw jednocześnie i dobrego
ojca, i dobrą pannę Zahn, a później tylko dobrą pannę
Zahn, i ogólnie zawsze wszyscy byli dla ciebie dobrzy,
przynajmniej do pewnego czasu. Nikt nie wystąpił prze-
ciwko tobie tak jawnie, traktowali cię na tyle poważnie,
by uknuć intrygę i spiskować za twoimi plecami, bo nie
odważyliby się pewnych rzeczy powiedzieć ci wprost,
nie odważyliby się dać ci w twarz, żeby ci pokazać,
gdzie twoje miejsce. Ze mną nie było tego problemu.

Stałam tam więc, z czerwonymi policzkami i łzami
w oczach, zaciskając pięści i ciężko dysząc, pewna, że zro-
bię coś bardzo złego, że muszę się uspokoić, bo inaczej
ja także ją uderzę, a to była przecież babcia, którą mia-
łam kochać i szanować. Wściekłość. Bezsilność. Nie było
we mnie nic więcej. Mogłam jej oczywiście powiedzieć,
że kiedyś tego pożałuje, bo pewnego dnia zrobi się zbyt
stara, by samodzielnie korzystać z toalety i wanny, i wtedy
to mnie przyjdzie błagać o pomoc. A ja odmówię. Oddam
ją do jednego z tych domów, gdzie starych ludzi karmi
się przez gumowy wężyk i podtyka im nocniki pod tyłek,
żeby nie łazili i nie brudzili. Chciałam jej tak powiedzieć,
Dörte, ale co by to dało? Zaczęłam się trząść i wtedy
właśnie poczułam dłoń na swoim ramieniu, a babcia
nagle zbladła.

– Pani Eckert, czy mogę zamienić kilka słów z pani wnuczką?

– Nie rozumiem, po co tracić czas na rozmowy z tą krnąbrną dziewczuchą – mruknęła.

– Czyż nie walczyliśmy na wojnie o każde ludzkie istnienie, o każdego młodego Niemca? Żeby im było lepiej niż nam? Trzeba mieć zrozumienie, pani Eckert, dla młodości, wszak jak wszyscy wiemy, ma swoje prawa.

– Za moich czasów...

– Moja droga pani Eckert, teraz czasy są inne i świat się zmienił. Czy nie idzie wszystko raczej ku dobremu? Czyż to nie dzięki zmianom ambitni ludzie bez szlacheckich korzeni mają szansę na awans społeczny i karierę, którą robią tylko i wyłącznie dzięki swoim umiejętnościom, tylko dzięki talentowi i ciężkiej pracy? To już nie jest świat, pani Eckert, w którym każdy znał swoje miejsce i bał się z niego wyściubić nos. Panna Ursula jest przedstawicielką młodego pokolenia odważnych, silnych Niemek. Być może to one kiedyś będą rządzić światem.

Przemawiał łagodnie jak do dziecka. Miał aksamitny, delikatny głos, niezbyt niski, ale też niewysoki. Słuchało się go tak, jak gdyby się dotykało czegoś miękkiego. Babcia była zawstydzona, a ja wiedziałam, że to się oczywiście odbije na mnie. Zacznie się, jak tylko Grupen zniknie. On nie mógł tego wtedy wiedzieć. A może właśnie wiedział? Nie umiem stwierdzić. Chciałam go jednak w przypływie rozpaczy prosić, by nie odchodził. By mnie z nią nie zostawiał.

Kiedy babcia wyszła z kuchni, usiadł na krześle i przyciągnął mnie do siebie. Objął prawą ręką, mocno przycisnął. Pachniał przyprawami korzennymi i lemoniadą. Zrobiło mi się trochę słabo, kiedy się o niego oparłam, a potem wtuliłam w poję marynarki. Głaskał mnie po plecach i szeptał, że wszystko będzie dobrze, to tylko stara kobieta, bardzo sfrustrowana, bo przecież wie, że nic się już w jej życiu nie zmieni, nie spotka kolejnej miłości, nie będzie miała gładkiej twarzy i lśniących blond włosów, nie włoży modnej sukienki, jedwabnych pończoch i pantofli z paseczkiem, nie zetnie włosów, nie spróbuje papierosa. Teraz wszystkie starsze panie są w głębi serca wściekłe, bo im nie wolno było tego, co wolno dzisiejszym pannom. Więc się mszczą. Kазą nosić niemodne buty i fryzury, dyscyplinują, bo myślą, że tak się wpaja szacunek. Im go tak wpajano. Ale przecież kiedyś się od niej uwolnię. To ja mam życie przed sobą, nie ona.

Ukoił mnie wtedy tą przemową. Chciało mi się płakać z wdzięczności. Nie przeszkadzało mi, że tak długo gładzi moje plecy, bo czułam wielką przyjemność. Nawet kiedy lekko pocałował mnie w szyję. Sądziłam, że to niewinny pocałunek. Przyjacielski. Może nawet ojcowski.

Szeptał mi do ucha pytania, czy chcę, by z nami został już na zawsze, a ja potakiwałam, odpowiadałam z wielką żarliwością, że tak, proszę, błagam, zostań.

Był więc ślub. Mama wydawała się szczęśliwa i babcia też, choć w sposobie, w jaki patrzyła na nowożeńców, krył się – chyba – żal. Może Grupen miał rację i ona faktycznie tęskniła za utraconą młodością, miała pretensje o niewykorzystane szanse – tylko do kogo, do swoich rodziców, do losu? Albo się w nim zakochała, co, szczerze powiedziawszy, Dörte, nie jest aż tak nieprawdopodobne. Grupen skończył dwadzieścia cztery lata, a babcia siedemdziesiąt pięć, ale jakie to ma znaczenie, kto ile ma lat, kiedy w grę wchodzi uczucia? Przeczytałam takie zdanie w jakimś artykule, tyle że gazeta pisała wtedy o mężczyźnie starszym o czterdzieści lat od kobiety. Kobietę obwołano potem w listach do redakcji łowczynią majątków, harpią i kokietką. Działo się to w jakiejś miejscowości, już zupełnie nie pamiętam jej nazwy. Gazeta trochę broniła tej kobiety, a trochę nie, bo z jednej strony właśnie – miłość jest ślepa i wiek nie ma znaczenia, z drugiej zaś „to jednak podejrzane, że ktoś tak atrakcyjny”, „czy nie kryje się w tym pewna desperacja”, „źródło zapewnia, że rodzina kobiety wywodzi się z nizin społecznych”. A wyobraź sobie teraz inny artykuł, taki o starszej pani, która poślubia dwudziestolatka. Co by w nim napisali, jak myślisz? Bo mnie się wydaje, że coś o przytępionych starczych zmysłach, „niemądrości”, braku odpowiednich doradców, dawaniu się wodzić za nos, zaślepieniu i kierowaniu się sercem zamiast rozumem. Nie sądzisz, Dörte, że tak by było? Że pisaliby o jej głupocie? Ten pierwszy artykuł dotyczył kobiecych sztuczek i próby

zagarnięcia majątku, drugi byłby na pewno o kobiecej nawierności. Oba byłyby w każdym razie o kobietach. Mężczyźni byłiby tu tylko tłem. Ich nikt by aż tak bardzo nie potępił. Kiedy się nad tym głębiej zastanowić, trochę się człowiekowi robi przykro.

Mama poślubiła Grupena i wkrótce wszyscy przeprowadziliśmy się do Itzehoe, małego niemieckiego miasteczka z ceglаныmi domami, brukowanymi uliczkami i „uroczymi” witrynami sklepowymi, które kusily słojami landryn i ciastek albo jakimiś kolorowymi szalami. Małe, ale większe od Kellinghusen, co przyjąłem z ulgą, bo miałam wrażenie, że tutaj, w razie czego, można się jakoś lepiej schować. Nie wiem, dlaczego akurat o tym pomyślałam. Wprowadziliśmy się do ładnego domu, który Grupen zaczął sam remontować. Miał firmę budowlaną i był ponoć architektem, a przynajmniej tak się do niego musieli zwracać pracownicy. Mamie jednak wyrwało się kiedyś, że Grupen wcale nie skończył studiów i tak naprawdę jest tylko murarzem. Bardzo się potem zarumieniła i poprosiła, by mu tego nie powtarzać, może to zresztą nieprawda, ona sama nie wie.

Pewnie powinnam zwrócić na to wtedy uwagę. Na to, że Grupen rozminął się z prawdą w tak ważnej kwestii. Ale szczerze mówiąc, liczyło się dla mnie tylko tyle, że potrafił przygotować nam dom do życia. Wreszcie miał być jakiś dom na stałe, Dörte. Już się nawet nie martwiłam tym, że i babcia z nami zamieszka. Na chwilę poczułam się

bezpiecznie. Był grudzień, spadł śnieg, wszyscy się szykowali do świąt. Ja też chciałam choinki ze świeczkami i kolęd. Pomyślałam, że naprawdę będziemy rodziną, że to się uda. Grupen był miły i dobry, wydawało się, że z mamą świetnie im się układa. Aż mi się chciało płakać z radości. Mama napisała do twojej panny Zahn, zawiadomiła was o ślubie. Ale to było za mało. Radość jest dwa razy większa, kiedy można ją dzielić z bliskimi.

To właśnie wtedy postanowiliśmy wybrać się z wizytą do Lahn i ci go przedstawić.

Przepraszam cię, Dörte. Ale przecież wiesz. To by się i tak stało, prędzej czy później.